



BIBLIOTECKA ZWIĄZKU PATRIOTÓW POLSKICH W ZSRR

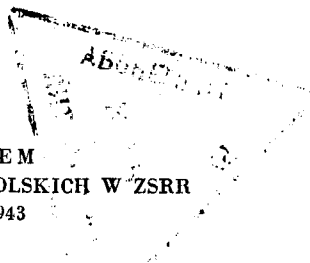


JULJAN TUWIM

W I E R S Z E

A 22507

NAKŁADEM
ZWIĄZKU PATRJOTÓW POLSKICH W ZSRR
MOSKWA 1943



OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
MIECZYŚLAW B E R M A N

I

* *

*

Chmury nad nami rozpal w łunę,
Uderz nam w serca złotym dzwonem,
Otwórz nam Polskę, jak piorunem
Otwierasz niebo zachmurzone.
Daj nam uprzątnąć dom ojezysty
Tak z naszych zgliszcz i ruin świętych,
Jak z grzechów naszych, win przeklętych:
Niech będzie biedny, ale czysty
Nasz dom z cmentarza podźwignięty.
Ziemi, gdy z martwych się obudzi
I brzask wolności ją ozłoci,
Daj rządy mądrych, dobrych ludzi,
Mocnych w mądrości i dobroci.
A kiedy lud na nogi stanie,
Niechaj podniesie pięść żylastą.
Daj pracującym we władanie
Plon pracy ich we wsi i miastach.
Bankierstwo rozpeczę — i spraw, Panie,
By pieniądz w pieniądz nie porastał.
Pysznych pokora niech uezbroi,
Pokornym gniewnej dumy przydaj,
Poucz ich, że pod słońcem Twoim
«Niemasz Greczyna ani Żyda».
Puszającym się, nadymającym
Strać z głowy ich koronę głupią,

A warczącemu wielkorządcy
Na biurku postaw czaszkę trupią.
Piorunem ruń, gdy w imię sławy
Pyszałek chwyci broń do ręki,
Nie dopuść, żeby miecz nieprawy
Miał za rękojeść krzyż Twej męki.
Niech się wypełni dobra wola
Szlachetnych serc, co w kłęsce wzrosły,
Przywróć nam chleb z polskiego pola,
Przywróć nam trumny z polskiej sosny.
Lecz nadewszystko — słowom naszym,
Zmienionym chytrze przez krętaczy,
Jedyność przywróć i prawdziwość:
Niech wolność tylko wolność znaczy,
A sprawiedliwość — sprawiedliwość.
Niech więcej Twego brzmi imienia
W uczynkach ludzi, niż w ich pieśni,
Głupcom odejmij dar marzenia,
A sny szlachetnych ucieleśnij.
Spraw, byśmy błogosławić mogli
Pożar, co zniszczył nasz dobytek,
Jeśli oczyszczającym ogniem
Będzie dla naszych dusz nadgnitych.
Każda niech Polska będzie wielka:
Synom jej ducha, czy jej ciała,
Daj wielkość serc, gdy będzie wielka,
I wielkość serc, gdy będzie mała.
Włóczonym między dziec niemiecką
I nowy naród Stu Narodów,
Na wschód granicę daj sąsiedzka,
A wieczną przepaść od zachodu.
Dłonie Twe, z których krew się toczy,
Razem z gwoździami wyrwij z krzyża
I zakryj, zakryj niemi oczy,
Gdy się czas zemsty będzie zbliżał.
Przyzwól nam złamać zakon Pański,
Gdy brnąć będziemy do Warszawy

Przez Tatry martwych ciał germańskich,
Przez Bałtyk wrażej krwi szubrawej.
... A gdy będziemy, Nekropolu,
Przybliżyć się do twych przedmieści,
Kłękniemy kwarantanną w polu,
Nadziei pełni i boleści:
Nadziei — że nam przyjaciele
Naprzeciw wyjdą z Miasta Krzyżów,
Niosący w oczach przebaczenie
I łzy radości, a nie wyrzut;
Boleści — że nam nie pomogą
Te łzy, ni łaska, ni witanie:
Milczące między nami stanie
Zjawą złowrogą.

LEKCJA

Ucz się, dziecko, polskiej mowy:
To przed domem — to są groby;
Małe groby, wielki cmentarz,
Taki jest twój elementarz.

Ustawiły się w szeregu
Czarne krzyże w brudnym śniegu.
Na Warszawie mrok żaloby,
Ucz się pięknej polskiej mowy.

Pod zwaloną kamienicą
Leży upiór z upiorzycą,
Wyją żółte upiorzeta...
Zapamiętasz? Zapamiętam.

Nocą gniewnie przez sen krzyczysz.
Straszne ptaki w niebie liczysz,
Rano — w ziemi rozorańej
Szukasz piąstki oderwanej.

Ucz się mogli, gruzów ucz się.
Z upiorami siądź przy uczcie.
W świat potężny, w świat plugawy
Pieśń warszawskich dzieci zawyj.

NIEMA KRAJU

Niema kraju, skąd nie będę tęsknił
Do dawnych, szarych ulic.
Złamię się w żalości każdy krzyk zwycięski,
We wszystkim dawność się rozczuli.

Niema ziemi, na którejbym spoczął
Bez szarego, dawnego wspomnienia.
Wszędzie, wszędzie moim oczom
Jedno jest do patrzenia.

Nie mnie, nie nie uspokoi,
Nie w porywie już nie zatrzyma.
Wiecznie otworem nade mną stoi
Niebo — ziemia moja rodzima.

Nie pomogą żadne podróże,
Ani tłumy, ani oceany,
Modłę się na ulicach coraz dłużej,
Zapatrzone, zaśłuchany.

Nie pomogą najprzedziwniejsze słowa,
Ani hymny dzikie, ani szalone gonitwy,
Cokolwiek będzie — przyjdą znowu
Stare, codzienne modlitwy.

Wołam, wołam, dłonie w rozpaczę łamię.
Boże! wysłuchaj! błyszni w niebie mieczem!
A on — tam, na ulicy, czeka na mnie:
Mój znajomy, szary, prosty człowieczek.

PODRÓŻ

Jechał wielkim, głbiącym oceanem
Dłgie, długie tygodnie,
Wielka burza przeszła orkanem,
Potem było już cicho i pogodnie.

Jechał wodą gęstą i głbiącą,
Aż do portu wesołego dobił.
Wyszedł na ziemię, pachnącą gorąco:
«Co ja tu będę robił?»

Opadli go czarni chłopcy,
Krzyżąc, że odniosą walizki,
Wszyscy byli jednakowo obcy,
Lecz ten, który wziął bagaż, — był bliski.

Poszedł za nim, za tym jedynym,
Do białego hotelu,
Teraz był starego portjera synem,
Chciał zapłakać: «Ojczy i przyjacielu!»

Uśmiechała się ciemna służąca
I przewracała białkami,
Przyniosła — jak wszystkie — wodę,
I został sam z walizkami.

I pomyślał: «Żeby wrócić do domu,
Znów muszę jechać przez długie tygodnie,
Śród głbiącego, straszniego ogromu,
Na którym smutno było i cudownie.

A wrócić muszę, muszę,
Bo kłamałem, że ojczyzną jest świat!
Ojczyzną jest to smutne podwórze.
Na którym nie byłem tyle lat!

Tam jest teraz, zmierzch, deszcz, szarawy kwiecień,
Miotła w kącie moknie»...
I najsmutniejszy na świecie
Stanął przy oknie.

C E L

Szukałem tego w Paryżu, szukałem w Berlinie
i Rzymie
A to za oknem było i miało polskie imię.

Myślałem, że to potęga, świat nowy, nowe dzieje,
A to ogródek wiejski, co się kwiatami śmieje.

A to groszek pachnący, georginje i malwy,
Wymalowane słońcem w proste, włościańskie
barwy.

Teraz kołysz się, kołysz, nierozumna głowo,
Że w ogródku niebiesko i płowo i różowo.

Szukałem tego pogonią — niecierpliwie, proroczą,
A to mi z paru grządek ukazało się oczom.

Będę jeszcze w New Yorku, będę w Moskwie
i Hadze,
Da Bóg, to i o Tokjo, to i o Tokjo zawadzę.

SPACER FANTASTYCZNY W LESIE FONTAINEBLEAU

Szybkim krokiem przez pochmurny las,
Chłodno, szumno pod liści migotem.
Ścieżka prosta, jakby z bicz trząsk:
Długa lufa z świetlistym wylotem.

Las się wiatrem zanosi. Spadł liść.
Kwili ptactwo strwożone. Deszcz będzie.
Jedno wiem: trzeba iść, trzeba iść
Naprzód w leśnym zielonym oblędzie.

Krąg się zwiększa. Wiem, co znajdę w nim,
Wdal idący, wietrzny i rozwiany:
Deszcz złocisty i słoneczny dym
Parującej, zroszonej polany.

Ale może cudem sprawi Bóg,
Że się nagle czas i świat zabłąka
I pomyli dzieje leśnych dróg
I wtem — patrzcie: inowłodzka łąka!

II

ŁÓDŹ

Gdy kiedyś czołem dosięgnę gwiazd
I przyjdzie chwały mej era,
Gdy będą o mnie kilkaset miast
Sprzeczać się jak o Homera,

Gdy w Polsce będzie pomników mych
Więcej, niż grzybów po deszczu,
I w każdym mieście zacnie się krzyk:
«Ja Ciebie wydałem, wieszczu!» —

— Niechaj potomni przestaną snuć
Domysły «w sprawie Tuwima»,
Bo sam oświadczam: mój gród — to Łódź,
To moja kolebka rodzima!

Niech sobie Ganges, Sorrento, Krym
Pod niebo inni wynoszą,
A ja Łódź wolę! Jej brud i dym
Szczęściem mi są i rozkoszą!

Tu, jako tyci od ziemi brzdąc,
Zdzierałem portki i buty,
Tu belfer, na czym świat stoi klnąc,
Krzyczał: «Ty leniu zakuty!»

Tu usłyszałem burz pierwszych grom
I pierwsze muzy szelesty!

(Do dzisiaj stoi ten słynny dom:
Andrzeja, numer czterdziesty).

Tu przez lat dziewięć, co drugi dzień,
Chodziłem smętnie do budy,
Gdzie, jako łobuz, pijak i leń
Słyszałem, ziewając z nudy.

I tu mi serce na wieczność skradł
Ktoś cichy i modro złoisty,
I tu przez siedem ogromnych lat
Pisałem wiersze i listy.

Nawet mizerne wiersze me
Łódź oceniła najpierwsza,
Bo jakiś Książek drukował mnie
Po dwie kopiejki od wiersza.

Więc kocham twoją «urodę złą»,
Jak matkę niedobłą — dziecię,
Kocham twych ulic szarzyzną mdłą,
Najdroższe miasto na świecie!

Zaszwargotanych zaułków twych
Kurz, zaduch, błoto i gwary
Piękniejsze są mi, niż stolic szych
I niż paryskie bulwary!

Śmieszność twą łzami przyprósza mi wzrok,
Martwota okien twych ślepych
I czarnych ulic handlarski tłok
I uszargany twój przepych,

I ten sterczący głupio «Savoy»
I wyfjoczone przekupki
I szyld odwieczny: «Mużskij partnoj,
On-że madam i pszerupki».

Kiedy kino nazywało się jeszcze «bioskop»
 Albo «iluzjon»,
 Kiedy nosiłem czapkę uczniowską,
 Wszystko było doprawdy iluzją,
 Marzeniem i beztroską.

Nie znałem wtedy «Cunardów» i «White Star'ów»,
 Miałem w Łodzi kamienicę zakłęta,
 Tam nie trzeba było mieć dolarów,
 Bo każde piętro
 Było pokładem okrętu.

Kiedy pisałem jeszcze «kwiatów kielichy»
 I «róż kobierce»,
 A rymowałem:
 — Cichy,
 — Serce,
 Miałem doprawdy ciche serce.

Wtedy,
 Kiedy kino nazywało się bioskop,
 Kiedy na schodach były dziwy,
 Kiedy wszystko było budzącą się piosnką,
 Byłem jeszcze szczęśliwszy.
 Dziś jestem tylko szczęśliwy.

NAD CEZAREM

Szkoło! Szkoło!
 Gdy cię wspominam,
 Tęsknota w serce się wgryza,
 Oczy mam pełne łez!
 ... Gallia est omnis divisa
 In partes tres...

Książko podarta!
Niejedną tobie rzuciłem obelgę,
A dzisiaj każda twa karta
Słodkiem wspomnieniem rani!
...Quarum unam incolunt Belgae,
Aliam Aquitani...

Ileż to z serca
Płynęło nad tobą skarg:
Czy mają cel te
Przekłady z rzymskich awantur?
... Tertiam,
Qui ipsorum lingua Celtae,
Nostra Galli appellantur...

Dzisiaj
Z burzami się mozolę
Na wielkiem morzu, dokąd los mnie zagnał,
A w szkole, w szkole
Palus erat non magna...

Nigdy nie zgłębię gruntu,
Ani do portu nigdy nie zawinę!
Cezarze!
Dum haec geruntur
Magnis itineribus ku śmierci płynę...

N A U K A

Nauczyli mnie mnóstwa mądrości,
Logarytmów, wzorów i formułek,
Z kwadracików, trójkącików i kółek
Nauczali mnie nieskończoności.

Rozprawiali o «cudach przyrody»,
Oglądałem różne tajemnice:

W jednym szkiełku «życie w kropli wody»
W innym zaś — «kanały na księżycu».

Mam tej wiedzy zapas nieskończony:
R i H_2SO_4 ,
Jabłka, lampy, Crookes'y i Newtony,
Azot, wodór, zmiany atmosfery.

Wiem o kuli napełnionej lodem,
O bursztynie, gdy się go pociera...
Wiem, że ciało pogrążone w wodę
Traci tyle, ile etcetera.

Ach, wiem jeszcze, że na drugiej półkuli
Słońce świeci, gdy u nas jest ciemno!
— Różne rzeczy do głowy mi wkuli,
Tumańczyli nauką daremną.

I nic nie wiem i nic nie rozumiem
I wciąż wierzę biednymi zmysłami,
Że ci ludzie na drugiej półkuli
Muszą chodzić dogóry nogami.

I do dziś mam taką szkolną trwozę:
Bóg mnie wyrwie — a stanę bez słowa!
— Panie Boże! Odpowiadać nie mogę,
Ja... wymawiam się, mnie boli głowa...

Trudna lekcja. Nie mogłem odrazu.
Lecz nauczę się... po pewnym czasie...
Proszę! Zostaw mnie na drugie życie,
Jak na drugi rok w tej samej klasie.

PRZY OKRĄGLYM STOLE

«Du holde Kunst, in wieviel
grauen Stunden»...
(Pieśń Szuberta)

A możebyśmy tak, jedyna,
Wpadli na dzień do Tomaszowa?
Może tam jeszcze zmierzchem złotym
Ta sama cisza trwa wrześniowa...

W tym białym domu, w tym pokoju,
Gdzie cudze meble postawiono,
Musimy skończyć naszą dawną
Rozmowę smutnie nie skończoną.

Do dzisiaj przy okrągłym stole
Siedzimy martwo jak zakłęci!
Kto odczaruje nas? Kto wyrwie
Z nieubłaganej niepamięci?

Jeszcze mi ciągle z jasnych oczu
Spływa do warg kropelka słońca,
A ty mi nic nie odpowiadasz
I jesz zielone winogrona.

Jeszcze ci wciąż spojrzeniem śpiewam:
«Du holde Kunst»... i serce pęka!
I muszę jechać... więc mnie żegnasz,
Lecz nie drży w dłoni mej twa ręka.

I wyjechałem, zostawiłem,
Jak sen, urwała się rozmowa,
Błogosławiłem, przeklinałem:
«Du holde Kunst! Więc tak? Bez słowa?»

Ten biały dom, ten pokój martwy
Do dziś się dziwi, nie rozumie...

Wstawili ludzie cudze meble
I wychodzili stąd w zadumie...

A przecież wszystko — tam zostało!
Nawet ta cisza trwa wrześniowa...
Więc możebyśmy tak, najmilsza,
Wpadli na dzień do Tomaszowa?...

PRZYPOMNIENIE

Miałem słoneczny gościniec
I biały, cudny dom...
Smutno jest sercu mojemu,
Smutno jest moim snom...

I było okno w mym domu
Za dawnych, dobrych lat,
Patrzałem sobie, patrzałem
W daleki cichy świat...

Może tam byłem dzień jeden,
A może cały wiek...
Wiem tylko, że kiedyś rano
Bieluchny opadł śnieg.

I śnieżnie, biało, dziecinnie
W słońcu się śmiał mój dom!
Smutno jest sercu mojemu
I dawnym, białym snom...

WIECZÓR

Uderzył wieczór złoty
W czarowne okien szyby,
Coś mi się dziwnie marzy:
— A gdyby? a gdyby?

Coś było... Wieś zielona,
Sad, ławka pod modrzewiem...
Ach, gdybym dzisiaj wiedział
— Lecz nie wiem... lecz nie wiem...

A czy to zmierzchem było?
Tak... jakoś o wieczorze...
A jeśli — — ? nie... bo przecież...
— A może... a może...

RZUCIŁBYM TO WSZYSTKO

Rzuciłbym to wszystko, rzuciłbym odrazu,
Osiadłbym jesienią w Kutnie lub Sieradzu.

A wiesz?
W Kutnie lub Sieradzu, Rawie lub Łęczycy,
W parterowym domku, przy cichej ulicy.

Byłoby tam ciepło, ciasno, ale miło,
Dużoby się spało, częstoby się piło.

Tam koguty rankiem na opłotkach pieją,
Tam sąsiedzi dobrzy tyją i głupieją.

Poszedłbym do karczmy, usiadłbym w kąciku,
Po tem, co nie wróci, popłakał pocichu.

Pogadałbym z tobą przy ampułce wina:
«No i cóż, kochana? Cóż, moja jedyna?»

Żal ci zabaw, gwaru, tęskno do stolicy?
Nudzisz się tu pewno w Kutnie lub Łęczycy?»

Nicbyś nie odrzekła, nic, moja kochana,
Słuchałabyś wicheru w kominie do rana...

I dumiała długo w lęku i tęsknicy:
— Czego on tu szuka w Kutnie lub Łęczycy?»

POWIEDZIEĆ CI NIE MOGĘ

Powiedzieć Ci nie mogę, jaki to żal bezbrzeżny:
Dzień dzisiaj taki biały i taki bardzo śnieżny...

Powiedzieć Ci nie mogę, jak mi ogromnie smutno:
Ale Ty pewno nie wiesz, co znaczy słowo «smutno».

Ach, pewno nie wiesz także, co znaczy «żal
bezbrzeżny»,
To nic... to nic nie znaczy... Dzień taki cichy, śnieżny

To takie moje słowa, co Ciebie mi zabrały...
A może i przyniosły... Dzień cichy dzisiaj, biały.

LIST

Śnieg pada... pada bezgłośnie...
Patrz — — śnieg...
Na duszę dziewczęcą Twoją
Całunem legł...

Bielutko. Cicho. Szczęśliwie.
Śnieg — — patrz...
Bezgłośnie ozwie się w duszy
Serdeczny płacz...

A wtedy zagraj przesmętnie
«Valse triste»...
Śnieg pada... pada... Już kończę
Mój dziwny list.

SUMA JESIENI

Więdną godziny powolne. Wątlej chwila za
chwila:
To gałąź zatopiona w jesieni. Sunę po niej
Milimetrami smutku. Męcząca, uparta praca.
Strącam sekundy z dnia. Listki z gałęzi strącam.

A co jesienią nazwałem? Wielkie głębokie wes-
tchnienie:
Moje, człowiecze, wzniesione z dna jeziornego,
chłodnego.
Ręce przez okno zanurzam w jeziorze dna i jesieni.
Dreszcz po nich skacze. Deszcz kropi. Listki i
chwilki strąca.

I N N E

Zawsze gdy na mnie spojrzysz,
Wiedz:
Że jestem smutny nie dlatego
(Dlaczegokolwiek,
O czym pomyśleć możesz),
Ale dla czegoś innego,
Dalekiego,
Czem ty się nigdy nie trwożysz.

Umrę ci kiedyś.
Oczy mi zamkniesz.
I wtedy — swoje
Smutne, zdziwione,
Bardzo otworzysz.

ŻYDEK

Śpiewa na podwórzu, tuląc się w łąchmany,
Mały biedny chłopiec, Żydek obłąkany.

Ludzie go wygnali, Bóg pomieszał głowę,
Wieki i wygnanie pomieszały mowę.

Drapie się i tańczy, płacze i zawodzi
O tem, że się zgubił, że po prośbie chodzi.

Pan z pierwszego piętra patrzy na warjata:
Spójrz, mój bracie biedny, na smutnego brata.

Kędy nas zaniósło? Gdzieśmy się zgubili,
Świata ogromnemu obcy i niemili?

Pan z pierwszego piętra, brat twój opętańczy,
Głową rozpaloną po wszechświecie tańczy,

Pan z pierwszego piętra wyrósł na poetę:
Serce swe, jak grosik, zawinie w gazetę,

I przez okno rzuci, żeby się rozbiło,
Żebyś je podepiał, żeby go nie było!

I pójdziemy potem każdy w swoją stronę
Na wędrówki nasze smutne i szalone.

Nie znajdziemy nigdy ciszy i przystani,
Żydzi śpiewający, Żydzi obłąkani.

ZMĘCZONY BURZ SZALEŃSTWEM...

Mais vrais, j'ai trop pleuré!

Rimbaud.

Zmęczony burz szaleństwem, jak statek pijany,
Już niczego nie pragnę, jeno wielkiej ciszy
I kogoś, kto zrozumie mój żal nienazwany,
Kogoś, kto mą bezsłowną tęsknotę usłyszy;

Kogoś, kto jasną duszą życie mi przepoi,
Iżbym w spokoju bożym wypoczął po męce,
Kogoś, kto rozszalałe serce uspokoi,
Kładąc na moje oczy miłosierne ręce.

Idę po szczęście swoje. Po ciszę. Do kogo?
Którędy? Ach, jak ślepiec! Zwyczajnie — przed siebie.
I wiem, że zawsze trafię, którą pójdę drogą,
Bo wszystkie drogi moje prowadzą do Ciebie.

JESTEŚ ZNOWU...

Jesteś znowu! Mój Boże! Jak mi serce bije!
Jak mi się wzrok owiośnił! Jak świat rozradował!
Tylem nocy Cię w snach, nazbyt krótkich, całował!
Tylem dni dzień ten tęsknił, co przyszedł i żyje!

I jest! O — teraz właśnie jest ten dzień powrotny,
Wyplakany, kochany nowy dzień spotkania,
Dzień wszystkiej mej nadziei, całego czekania,
Gdym Cię piastował w sercu, stęskniony, samotny!

I jakże to wypowiem? I jakiemu słowu
Powierzę ową radość drżącą, niespodzianą,
Że obudzę się jutro z duszą rozkochaną,
Z uśmiechem szczęścia w ustach: «Jesteś! Jesteś
znowu!»

RODZINA

Młode listki kropelkami
Ledwo, ledwo z domu wyszły,
Zwiniętymi zielonkami
Trysły nocą i zawisły.

Dom rodzący, kość soczysta,
Rdzeń od dziadów pędząc z ziemi,
Że go wielka moc zacisła,
Łzami wyblęśł zielonemi.

Ojciec z matką tak się zrosli,
Tak się w drzewo splekli męką,
Że z cierpienia, że z miłości
Ojczy serce matce pękło.

SCHERZO

Śpiewała wesoło — i nagle w śmiech,
Sam śpiew ją rozśmieszył: że śpiewa.
I śmiech zaczął sypać ze śpiewem jak śnieg,
I śmieje się, śmieje, zaśmiewa.

Bo jak się tu nie śmiać? Wydluża się głos
I dźwięki i dzwonki nawija
Na nuty, na nitki, na strunki jak włos
I piankę ze srebra ubija.

Wesoło się śmiała — i nagle w płacz,
Sam śmiech ją rozplakał i trzęsie,
I łka i zanosi się łzami: «No patrz!
No patrz! rozplakało się szczęście!»

Ucichła powoli. I rękę na pierś
Jak lilję na grobie, składa.
I patrzy daleko — i widzi śmierć,
Bezmyślna, zastygła i blada.

WIEŚ

Smagły dzień, cygański maj,
Pachnie mocno wiatrem i chlebem.
Kraj brunatny, zorany kraj,
Niebo zorzą spięte z czarnoglebem.

O, nie wiosna — sama wieśń,
Żyzność młoda co krok się iści.
Literami wszedł czerwiec w wieś,
Tkwi jak pestka twarda w mięsie wiśni.

I gdy wzrok nabiega krwią
Na wesole, wiśniowe wyjezdne,
Łuna bije w wieczorny dzwon
Na złocone noclegi, na gwiazdne.

A tam — gwiazdy, zorze, dźwięk i śmiech
W sen się zdzwonią, w jeden aniołpański
I wystrzelisz trzaskiem ognia ze strzech,
Wiejski dniu, smagły maju cygański!

PRZEMIANY

Wielka jesteś, jara ziemio, ale mi ciebie mało!
Dla mojej miłości wścieklej
Jeszcze powinnaś być większa,
Jeszczeby się — o, wrząca i żywa! — przydało
Napakować jakich drożdży do twego wnętrza!

Żebyś nabrzmiała nową, płodną siłą,
Żeby drzewa jak słonie rosły,
Żeby gęstą żywicą z głębi tryskało i biło,
Żeby dzwonami dzwonił zielony bulgot wiosny!

Żeby pędziły dogóry słodkie twoje tłustości,
Karmione wrzątkiem żaru, mlecznym słońca udojem,

Żeby rżyska skwierczały z gorącej opłwitości,
Żeby, za kłosem tęskniąc, białawym pławiły się
łojem

Nuże, kwiaty — lepkie i mięsiste,
Pęczniejące, wygięte znacząco,
Kwiaty, wonią zbarwioną wytrysłe
W waniljowe, korzenne gorąco!

Nuże, ciepło — głębokie, pełne,
Pod zielenią jaskrawo-trawiaścią!
Jarz się, niebo, gęste, olejne,
Smarowane światłem jak omastą!

Deszcze świeże, szumne ulewy,
Niech was żłopie kochanka zgrzana!
Ziarna, zwierzętami wyskoczcie z gleby!
Z brzoź niech cieknie strumieniami śmietana!

A ty, bujna, gorąca i mleczna,
Ty, wypierśna, młoda i soczysta,
Babo wieczna, babo rozłożysta,
O, radości nieskończonej zdroje:
Łonu twemu — soki moje,
Dziecku memu — mleko Twoje!

* *
*

Życie? — — —

Rozpręzę szeroko ramiona,
Nabiorę w płuca porannego wiewu,
W ziemię się skłonię błękitnemu niebu
I krzyknę, radośnie krzyknę:
— Jakie to szczęście, że krew jest czerwona!

SOKRATES TAŃCZĄCY

Prażę się w słońcu, gałgan stary...
Leżę, wyciągam się i ziewam,
Stary ja jestem, ale jary:
Jak tęgi łyk pociągnę z czary,
To śpiewam.

Słońce mi grzeje stare gnaty
I mądry siwy łeb kudłaty,
A w mądrym łbie, jak wiosną las,
Szumi i szumi mędrsze wino,
A wieczne myśli płyną, płyną,
Jak czas.

Czego się gapisz, Cyrbeusie?
Co myślisz? Leży stary kiep?
Już do gadania słów mu brak?
Już się wygadał? A tak, tak...
Idź, piecz swój chleb.

Z zaułka śmieją się uczniowie,
Ze się mistrzowi kręci w głowie,
Ze się Sokrates spił...
Idź, Cyrbeusie, uczniom powiedz,
Ze już trafiłem w samo sedno:
Ze cnotą jest zlizywać pył
Z ateńskich ulic! Lub im powiedz,
Ze cnotą jest — w pęcherze dać!
Ze cnotą jest — lać wodę w dzbany!
Albo — wylewać! Wszystko jedno...
A jeśli chcesz — to przy mnie siądź,
Nie piecz swych bułek i rogali,
Będziemy sobie popijali!
No, trać się ze mną, trać!

Cóż ci to? przykro, Cyrbeusie,
Ze mi się język trochę płacze?

Że się tak śmieję, Cyrbeinku?
Że w biały dzień w Atenach, w rynku,
Jak żebrak leżę, wino sączę?
Mędrcomi, mówisz, nie przystoi,
Gdy złym przykładem uczniom świeci?
Że stary broi,
Jak dzieci?
Że tłumowi uczni nie gromadzę,
Że drogi prawd im nie wskazuję,
Nie radzę,
Nie filozofuję?
A tak... a tak...
Zło! Dobro! prawda? Ludzie, bogi,
Cnota i wieczność, czyn i słowo,
I od początku — znów, na nowo
Bogi i ludzie, dobro, zło,
Rzeczpospolita, słowa, czyny,
Piękno — to, tamto, znowu to! — — —
Mój drogi — kpiny!

Słyszeliście od Herifona,
Żem jest najmędrszy... Tak orzekła
Wyrocznia, w całej Grecji czczona,
Blask chwały czoło moje zdoła!
Więc patrzcie, co najmędrszy robi:
O!
Bo cóż jest słowem a co czynem,
Bo cóż jest dobro a co zło,
Kiedym się złotem upił winem,
A mam kosmatą głowę psa
I w głowie zamęt ohłakańczy?!
Wy patrzcie, jak filozof tańczy:
I hopsa-sa i hbpsa-sa!
I hopsa, hopsa, hopsa-sa!
Wy patrzcie, jak najmędrszy tańczy!
Jak mu skaczą stare nogi,
Zło i dobro, ludzie, bogi,

Cnota, prawda, wieczna Mojra,
Hopsa, hopsa, idzie ojra:
Raz na prawo — hopsa-sa!
Raz na lewo — hopsa-sa!
Rypcium, pipcium, chodź Ksantypciu!
A muzyka gra!!
Chodź tu także, Cyrbeinku,
Wokoluško tak, po rynku,
Mędrzec tańczy, dalej z drogi,
Cnota, prawda, piękno, bogi,
Patrzcie, ludzie, patrzcie, gapie,
Od Ksantypci wały złapie,
Że tak we mnie wszystko drga,
A ja sobie hopsa-sa!
Tak bez końca, tak do śmierci,
Niech się jasne niebo wierci,
Tak — do góry a tu kopsa,
I znów boczkiem hopsa, hopsa!
Nie żałować starych nóg!
Niech się cieszy wielki Bóg,
Że Sokrates prawdę zna,
Że już wie! że wszystko ma!
Że już pószedł hen, na kraniec,
On — najmędrszy, on — wybraniec,
Gałgan z brzydką mordą psa,
Poznał taniec, poznał taniec,
Hopsa, hopsa, hopsa-sa!!!

DWA WIATRY

Jeden wiatr — w polu wiał,
Drugi wiatr — w sadzie grał:
Cichuteńko, leciuteńko,
Liście pieścił i szeleścił,
Mdlał...

Jeden wiatr — pędziwiatr!
Fiknął kozła, plackiem spadł,
Skoczył, zawiał, zaszybował,
Świdrem w górę zakołował
I przewrócił się i wpadł
Na szumiący senny sad,
Gdzie cichutko i leciutko
Liście pieścił i szeleścił
Drugi wiatr...

Sfrunął śniegiem z wiśni kwiat,
Parsknął śmiechem cały sad,
Wziął wiatr brata za kamrata,
Teraz z nim po polu lata,
Gonią obaj chmury, ptaki,
Mkną, wplątują się w wiatraki,
Głupkowate mylą śmigie,
W prawo, w lewo, świst, podrygi,
Dmą płucami ile sił,
Łobuzują, pał je lichy!...

A w sadzie cicho, cicho...

PIEŚŃ O BIAŁYM DOMU

Budowali Biały Dom,
Stupiętrowy Biały Dom,
Budowali dom szalony,
Stupiętrowy, marmurowy,
Na drabinach, rusztowaniach,
Wznosili piorunochrony,
By weń bił jaskrawy grom,
Jak w kościelne lśniące głowy!
Budowali Biały Dom,
Tłukł w marmury twardey łom,
I wznosili robotnicy
Wężom złotej błyskawicy

Dachy, wieże i kopuły,
Które przednie mistrze kuły
Swoim snom, strzelistym snom!
Budowali, budowali,
A gorzało słońce w dali,
Różowiło szmat ulicy,
I śpiewali robotnicy:
«Budujemy Biały Dom,
Stupiętrowy Biały Dom,
Stupiętrowy, marmurowy,
By weń bił jaskrawy grom,
Jak w kościelne lśniące głowy!»
A był jeden murarz młody,
Co niebieskie oczy miał,
Na czterdziestem piętrze stał
I tak śpiewał murarz młody:
 «A jak stanie dom gotowy,
 Stupiętrowy Biały Dom,
 Mało będzie moim snom,
 Pójdę wyżej, pójdę dalej,
 Bo się białe słońce pali,
 Pójdę wyżej, zrobię więcej,
 Stanie pięter sto tysięcy!»
I rozległ się śmiech murarzy:
«Zobaczmy! Jak Bóg zdarzy!»
I za boki się ujęli
I śmieli się, śmieli, śmieli!

W WARSZAWIE

Ustokrotnie swe oczy, upiję spojrzenia,
Puszczę je jak psy gończe w zmijowisko linii
Na tę orgję przestrzeni, na domów spiętrzenia,
Cyrklem szaleństwa koło cudowne zakreślę,
Ustokrotnie swe oczy, wokół je roześlę,
Niech pędzą, niech się wiją, przyziemnie a gibko,

Niech węszą, niech się wiją, obłudnie, zachwytnie,
Śliskim pędem sunące, gnane miejską wrzawą,
W turkotnym rytmie, w rozgwarnym rytmie
Motorów-antychrystów, dorożek, spacerów,
W rytmie nierównym, w rytmie zmiennym,
Ciętym, krętym, śród alej i ulic i skwerów,
I już znów — skokiem — zwrotem — wdół rzucone
szybko,
Runą strzałem niechybnym, jak z procy, przed
siebie,

Drgające, upojone rozkoszną symetrią!
Tu będziesz tańczyć, moja poetycka geometrjo,
W tem fantastycznym mieście, — nie! w tym śnie,
wcielonym

Z rozmachem i patosem w labirynt uliczny,
W tej stulicej stolicy, rozstrzelonej gwiezdnie!
Tu czynem będzie popęd i orkan liryczny,
Tu będzie mi szeroko — przestrzennie — rozjezdnie!
Tutaj się Duch Architekt radośnie potoczy,
Linjami trysną me oczy,
Kołami zawirują myśli me pijane,
W centrum stanę,
Gestykulując wzrokiem, ciskając żrenicą
Jak rozkazem: Hej, zatańcz, Warszawo, stolico!
Hej, porusz, porusz się, stolico!
Przewróć się w moich oczach, owężaj się, wiń,
Roztaczaj się, mozajkuj — i pływ — i pływ...

Ach, wiatry przedwiosenne, druchy niezawodne!
Ach, drzewa! Ach, kroczenie, alkoholu wiosny!
Ach, ozłoconych domów znaczące milczenie!
Pływ, pływ przeze mnie wszystko tym ciągłym
potokiem!
Pływ, pływ przeze mnie niebo niebieskie, pogodne!
Ach, drzewa! Ach, kroczenie! Ach, wiewy-owieje!
— Prężny kroku! Skocz chwilą, raptownym
podskokiem,

Krwia do głowy! Znów chodzę — i śmieję się,
śmieję.

Zamykam oczy! Miasto wre we mnie symfonią,
Szaleje!

Bije w twarz akordami, skręca się, rozwija,
Cwałującym galopem rytmikę wybija!

Z sykiem ulica rynek oplotła jak żmija,
Dalej — dalej — strzeliło siedem ulic z placu,
Rozbiegło się wesoło i przed siebie pędzi:

Jedna do wysmukłego wpłynęła pałacu,

Nawylot go przeszyla i na most się rzuca,

Rozpiera zwinne przesła i hardość krawędzi,

Druga — gestem szerokim, szeroką krzywizną,

Zawadjackim zakrętem opasała kościół,

A trzecią na zygzaki połamane rozciął

Swawolny spad nad rzeką: — na chwilę przykuca

I — hop! na wał się rzuca! A czwarta, a piąta

Nie spotkają się nigdy i myśl ich nie spląta,

Szósta w ślepy zaułek w rozpędzie się wryła

I mur chce przebić, krzyczy i chce się przedostać

I po wieczność już będzie rozpaczą weń chłostać!

A siódmą — jasną w słońcu i prostą jak trzcina —

Idzie mi na spotkanie Dziewczyna, Dziewczyna:

Kołysze się na biodrach gęźbą taneczniczy,

Aż się domy kołyszą z obu stron ulicy!

ŚLĄSK ŚPIEWA

Słyszycie, jak huczą młoty,

Turbiny turkotem trajkocą?

Pracują dniem i nocą.

Wre głuchy rytm roboty.

Dymią się bure kominy,

Piece hutnicze płoną,

Dudnią, dudnią maszyny,

Łuną palenisk czerwoną
Czarna zasnuwa się dal.

Śląsk śpiewa

Głos ma węgiel i stal:

W trzewiach ziemi rytm twardy,
Głucho wałą kilofy, oskardy,
Stuk uparty, łomot w skały
Ziemi hardej wrywa kawaly.

Nadół, dogóry,

Dogóry, nadół,

W grób sztolni,

W mroczny padół

Dźwigają czarne kamienne plony
Ludzie podziemni, śląskie pierony.
Windy, świdry jeżdżą ze zgrzytem,
Wiercą, rąbią w ziemi rozrytej,
Węgiel niosą w głębiny
Na żer spragnionej ruchu maszyny.

Maszyna śpiewa:

Już, już drgnęłam, żyję,

Już, już motorem biję.

Ogniem błysnął pęd — duch,

Zawył, świsnął ruch — ruch,

Świst, świst, łoskot stalowy,

Zgrzyt, zgrzyt, równy, miarowy.

Koła wżębione w zębate szyny,

Tłoki — pompy, tłoki — turbiny,

Drgają

rażnym

rytmem

żelaznym...

Warczy, turkoce serce maszyny.

III

WŁAŚCIWIE

«Co on właściwie czyni,
wrzeszcząc wśród kamienic?».

Stefan Żeromski «Charitas».

Co ja właściwie czynię, tak cierpiąc, tak się
ciesząc,
Tak życia niecierpliwym, ku pewnej śmierci spiesząc?

Co czynię, czyniąc wszystko? U kogo służba moja?
Kto są ci wszyscy wokół? Skąd jestem tu i kto ja?

Te smutki, te radości — cóż one im powiedzą?
O Boże, Boże, Boże, ci ludzie nic nie wiedzą!

Te smutki, te radości — zasepią czy ukoją?
O Boże, Boże, Boże, ześlij mi łaskę swoją!

I o co ja właściwie, o Panie, Ciebie proszę,
Gdy ku niebiosom Twoim stęsknione oczy wznoszę?

T R U D

Tak w sobie wzniecać śmierć jak ja!
Naświetlać się jej blaskiem zimnym
I w huku jaskrawego dnia
Śmiertelnie ziębnąć w świecie innym!

Tak martwo patrzeć w smutny punkt,
Gdzie sen z wiecznością się przecina,
I tam, gdzie drży pustynia sina,
Pod każdą chwilą tracić grunt.

I tam, gdzie brak już ludzkich słów,
O dźwięczny trud się jeszcze kusić!
Z popiołów żywy kwiat wydusić,
Ze szczęścia skonać — i cierpieć znów.

POŚRÓD DNIA

Nie dziw się memu smutkowi,
Pośród dnia jak na pustyni stoję,
O każdą chwilę się niepokoję,
O każdą myśl: czy też się wysłowi?

Przecież słyszysz, że ciągle wołam
I krzyk mój w pustkowiu ginie.
Bóg mnie, jak tylu innych, ominie
I, jak oni, życiu nie podołam.

Rzuci mnie na ziemię zdyszanego,
Zdziczałego od modlitw bez echa,
I na próchno moje — też pociecha! —
Runie słupem ognia słonecznego.

DO LOSU

Miłość mi dałeś, młodość górna,
Dar ładu i wysokie żądze.
I jeszcze, na uciechę durniom,
Raczyłeś dać mi i pieniądze.

Płonącą kroplą obłąkania
W mózg szary mój wsączyłeś tęczę.

Miraże wstają wśród mieszkania,
Palcami w stół na lutni dźwięczę.

I gdy poniosło, to już niesie,
Roztrącam dni i .rwę na części,
I w zgiełku wieku i w rwetesie
Ubrdało mi się jakieś szczęście.

Rytmowi przebieg chwil powierzać,
Apollinowym drząc rozmysłem,
Surowo składać i odmierzać
Wysokim kunsztem słowa ściśle.

I kiedy kształt żywego ciała
W nieład rozpadnie się plugawy,
Ta strofa zwarta, zwięzła, cała,
Nieporuszona będzie stała
W zimnym, okrutnym blasku sławy.

Smutku! Uśmiechu! Melancholjo!
W bęben żałobny bije glorja...
I smutnie brzmi: «Dum Capitolium...»
I śmieszne jest: «Non omnis moriar».

COMEDIA DIVINA

A jednak we Florencji załamane ręce,
Zimne stelle dantejskie błagając o słowo.
Trzynastowieczny, suchy, tworzący surowo,
Stąd patrzył w gwiazdy nasze, w dziwacznej
Firenze.

I była jedna chwila, kiedy wspólnem sercem
Uderzyła skroś wieki jedna miłość w niebo.
I spadło gwiazdnym deszczem pięć tysięcy
tercyn
Na rozmodlone usta poety obcego.

RZEŻ BRZÓZ

Brzozom siekierą żyły otworzę,
Ciachnę przez ciało, rąbnę przez korzeń,
Lepkiem osoczem brzozę ubroczę,
Na rany białe wargami wskoczę.

Zęby chwytiliwe w trzony brzóz wbiję,
Ustami chciwie soki wypiję,
Żywceń spod kory wyrwę wargami
Rdzeń umęczony pocalunkami.

Może te łaki z żywego drzewa
Słów mnie nauczą, których mi trzeba:
Na chwałę brzozom, na chwałę latu,
Ustom obłądnym, bożemu światu!

NASZA MĄDROŚĆ

Jakże ja cię będę uczył tej mądrości?
Myśmy ludzie cisi, myśmy ludzie prości.
Myśmy ludzie prości, ludzie nieuczenni,
Słowem-ogniem wszczęci, słowem-ogniem chrzczeni.
Splotem słów chwytamy tajemę w śpiewnym rymie,
U nas kwiatu — słońce, słońcu — kwiat na imię.
Lecz w tej naszej mowie, w tym przedziwnym dziwie,
Świat się tak nazywa, jakim jest prawdziwie.
Bez ksiąg i bez nauk, lecz w zadumie niemej,
My jedyni jeszcze coś-niecoś tu wiemy:
O tych chwilach nocnych, co w bezkresy biegą,
Gdy widzimy cienie nie wiadomo czego.
Zawsześmy na ziemi jednakowo młodzi,
U nas po ogrodzie jasny Zwiastun chodzi.
I do samej śmierci oddajem w pokorze
Bogu co cesarskie i Bogu co boże.

D U M A

Rozrosła się wspaniale wola mej twórczości.
Jest mi, jak glina palcom artysty, uległa,
Choć mocna, choć potężna, choć jak granit legła
W mej duszy, obcej żalom hamletycznej czczości.

Uznałem życie wszędzie. A w sobie znałem,
Że jeszcze kiedyś wszystko, com posiadał, odrzucę...
Pójdę — ogromnym smutkiem może się rozsmuceć,
A może się i szczęściem zachłysnę wspaniałem.

Szczycę się, — bom sam pojał swą niedoskonałość
Nawet w woli twórczości, co w mą duszę wrasta.
Dumny jestem — bo widzę w dali Złote Miasta,
Nie idąc w nie. Bo wiem, że znajdę *skamieniałość*.

P R A C A

I dzisiaj znowu w strof czworokąty
Nieustępliwe rzeczy wtlaczać,
Wyginać, ciosać, przeistaczać,
Śród czerech linii szukać piątej:

Żeby się na niej, utajonej,
(Widomej ilu śród tysiąca?)
Treść uświetliła, moc prężąca
Struny napiętej i czerwonej.

Znowu przetapiać w ogniu spojrzeń
Barwy na metal dźwięku lity,
Wyczarowywać z faktów mity,
Rozkrawać słów nerwowy korzeń.

Tak! Znowu! Znowu! Wciąż odnowa
Wbijać się klinem coraz srożej
Słowami w serca, sercem w słowa
I trwać w uporze.

ODPOWIEDŹ

Gdzież mnie do poematów? Ledwo wiersz wykrztuszę
Z rozdygotanej krtani, drząc o każde słowo,
Trwożąc się, czy coś znaczysz, o zawodna mowo,
Dla której dźwięków tajnych żyć i umrzeć muszę.

Znakami czarnej męki pstrząc białe arkusze,
Modłę się, płaczę, płonę, śmierć słyszę nad głową,
Oczy na świat podnoszę — świat patrzy surowo,
A ja myślałem przecież, że niebiosą wzruszę.

Spróbuj, proszę, lancetem na swej własnej dłoni
Wyryć choć jedno słowo, którem serce pęka,
A potem prawdę powiedz: rozkosz to czy męka?

Takbym poemat pisał, co mi z ziemi dzwoni,
Takbym to zasłuchanie żarem krwi roztrwonił,
Takby serce zabiła ta pisząca ręka.

KAMIENIE RACZEJ RĄBAĆ...

Kamienie raczej rąbać dla czerstwego chleba
I żuć go, by znów siły zdobyć na rąbanie,
Niż tak po ziemi chodzić i tak pragnąć nieba
I tak ze szczęścia cierpieć, jak ja cierpię, Panie!

Patrz, jak się ze mnie rodzą te słowa w męczarni,
Słowa — krew moich szarpań, ran rozdartych ogień.
Mojżesz, który sepleni, bełkoce niezdarnie,
Nie mam swego Arona, coby mówił z Bogiem.

Tak dźwięczne szczęście życia przekleństwem się
stało,

Apostoła mi ześlij! niechaj mnie tłumaczy!
Słowo stało się ciałem, a popiołem — ciało
I w prochu moich modlitw tarzam się w rozpaczy.

EKSPERYMENT

Wiosno! Wyraźnie i dobitnie,
Wyraźnie, dobitnie i ostro
W noc twych narodzin o tobie myślę.
Myślę zimno, spokojnie i ściśle:
Oto
Śnieg
Topnieje.
Oto
Jest
Ciepłej.
Oto kępami ziemi brunatnej
Pulchnieje od głębi wzruszone Powiśle.

Tają lody ostatnie,
Ruszają wolne wody
(Pięknie! choć pseudoklasycznie).
I z zakrzepłej przyrody
Wypływa nowy, młody
Świat
I kwitnie.
Wyraźnie i dobitnie.

I najświadomiej,
Jak fizjolog na preparacie.
Tak ja powyższemi słowy
Obnażam nerwy polskiej mowy.
(Nie inaczej naprzykład
Uprawiałbym anatomję)
Tak właśnie spokojnie,
Tak świadomie
Kładę na szklanej płycie
Wiosnę,
Jak żabkę zieloną.
Przecinam wzdłuż,
Otwieram wszcz

I celnym lancetem
W nerw.
Drgnęła. Więc: życie.

Różnica jest znikoma.
Tyle tylko,
Że zamiast anatoma
Wzięliśmy poetę.
O to mi właśnie chodzi,
Wiosno, wiosno, żabko zielona!
W noc twych narodzin
Leżysz rozpięta na tym papierze,
Piórem zwysoka w sedno twe mierzę.
Zaraz uderzę.

Jeszcze ostatnie spojrzenie
Przymrużonego oka,
Jeszcze ostatnie wahanie
O włos — — —
I
Cios
Wgłęb
Pospolitego słowa.

Drgnęło.
Potopem słońca trysnęło,
I w bezwstydnym gałęziach bzów
(«Bzów»!!!)
Miota się zakochana szalejąca głowa.

I teraz nie wstydz się już słów —
Powiedz o wiosnie: radosna,
Powiedz o wiosnie: miłosna,
Bo to już PRAWDA.

Poeci!
Oto jedyny sekret naszego rzemiosła:

Wtargnąć wewnątrz!
I wiosną stanie się nawet wiosna.
Słuchajcie, jakie dziwy się dzieją!
I jak ta wiosna, kiedy ją natnę,
Tętni i śpiewa mi w każdym zmyśle!
«Oto jest cieplej, śniegi topnieją,
Oto kępami ziemi brunatnej
Pulchnieje od głębi wzruszone Powiśle».

W I E R S Z

Gdy wiem,
że wiersz
powstanie,
w klamrę nawiasu zamykam
świat
i przed nawiasem stawiam
znak
funkcji, czynnika.

Wtedy zaczyna się działanie,
dźwięczne i szybkie rozmyślanie,
aż wiersz,
jak zadanie
algebraika,
na czarnej tablicy wyraźnie wynika.

Potem
nawias otwieram,
uwięzione wypuszczam żywioły,
czarną tablicę z działań wycieram.

I wracam wesoły
do domu ze szkoły
i w domu z miłości umieram.

BAGDAD, CZYLI O PRZYSZŁYM POECIE

Uplół się dziecku Bagdad śród nocy zimowej.
Może z tapety krętej? Może z nowej książki?
Bo ze ścian kaskadami koszmar kolorowy,
Bo z książki zamieć ptaków centkowanych
w prążki.

Zielony sznur jedwabny od elektryczności
Wpełzł w sen gadem, rośliną. I tam się zaczęło:
Lęło się w koszu puszczy, plotło się, ginęło,
Wiło się zwierzodrzewem i twarzami gości.

Potem — szept tasowanych kart. Potem wachlarzem,
Jak zorza borealna, figury w półkole.

I płynie dziecko w zgrozie PRZEMIENIONYCH
zdarzeń

I szybkie miasto ze snu buduje na stole.

A gdy czerwona czapka posłańca z ulicy
Siadła na wielkiem oku snu jak katarakta,
Rozszepało się mnóstwo w spadzistej stolicy
I zbudziło się dziecko — i krzyknęło: «Bagdad!»

Zrywa się, patrzy w okno. Tam księżyc wycięty
Stoi ledwo-zielony. Na strasznej tapecie
Sen chodzi kinem cieni, załamując sprzęty,
I zapłakało dziecko. Biedne, biedne dziecię!

*Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Ze według bożego rozkazu,
Kto raz słowem trafił w sen utudny,
Ten nie zazna szczęścia ni razu!*

SITOWIE

Wonna mięta nad wodą pachniała,
kołysały się kępki sitowia,
brzask różowiał i woda wiała,
wiew sitowia i miętę owiał.

Nie 'wiedziałem wtedy, że te zioła
będą w wierszach słowami po latach,
i że kwiaty zdaleka po imieniu przywołam,
zamiast leżeć zwyczajnie nad wodą na kwiatkach.

Nie wiedziałem, że się będę tak męczył,
słów szukając dla żywego świata,
nie wiedziałem, że gdy się tak nad wodą klęczy,
to potem trzeba cierpieć długie lata.

Wiedziałem tylko, że w sitowiu
są prężne, wiotkie i długie włókienka,
że z nich splotę siatkę leciutką i cienką,
którą nic nie będę łowił.

Boże dobry moich lat chłopięcych,
moich jasnych świtów Boże święty!
Czy już w życiu nie będzie więcej
pachnącej nad stawem mięty?

Czy to już tak zawsze ze wszystkiego
będę słowa wrywał w rozpachy
i sitowia, sitowia zwyczajnego
nigdy już zwyczajnie nie zobaczę?

NIEZNANE DRZEWO

Poświęcam najświętszej pamięci
Stefana Żerómskiego.

Gdzie jesteś, drzewo mocne i dumne,
Rozgałęzione, liśćmi szumne,
Węzłem korzeni zarosłe w ziemi,
Drzewo, z którego będę miał trumnę?

Muszę cię poznać, w korę zastukać,
Po lasach wołać, po borach hukać:
Gdzieżeś, tajemne drzewo trumienne?
Twój narzeczony przyszedł cię szukać!

Błądzi strapiony po czarnym borze,
Drzewa swojego znaleźć nie może,
Zaszum mi, zaszum na wieczność naszą,
Zanim się z tobą do snu ułożę.

Trzeba się przecież umówić wprzód
Na owe ciężkie śmiertelne trudy,
Gdy nam sądzono po nieskończoność
Zmieniać się w popiół, w bezpłodne grudy.

Może na tratwach po sonej fali
Popłyniesz do mnie z ogromnej dali,
I wstyd nam będzie, wieczny sąsiedzie,
Żeśmy do śmierci się nie poznali!...

A może rośniesz przed moim domem,
Codzień witane a nieznajome,
I ktoś ci może wyrzezał w korze
Miłe litery, serce wiadome?

Długo, serdecznie gadałbym z tobą,
Wzruszyłbym wierszem, wymógł żalobą.

Żebyś rozparło tę ziemię czarną
I znów zakwitło, na dziwo grobom.

Żebyś mnie w siebie jakoś wszczepiło,
Wydarło z ziemi ukrytą siłą!
Coś może złączy nerw jakiś z kłaczem
I zadrzewimy się nad mogiłą!

Może ogromnem westchnieniem z Iona
Wgórę nas wzniesie ziemia zielona,
Ziemia jedyna, ziemia rodzima,
Tym grobem w samo serce zraniona.

PROŚBA O PIOSENKĘ

Jeżelim, Stwórco, posiadał Słowo, dar Twój świętny,
Spraw, by mi serce biło gniewem oceanów,
Bym, jak dawni poeci, prosty i szlachetny,
Wichurą krwi uderzał w możnych i tyranów.

Nie natchnij mnie hymnami, bo nie hymnów trzeba
Tym, którzy w zżartej piersi pod brudną koszulą
Czcze serca noszą, krzycząc za kawałem chleba,
A biegną za orkiestrą, co gra capstrzyk królom.

Lecz słowom mego gniewu daj błysk ostrej stali,
Brawurę i fantazję, rym celny i cienki,
Aby ci, w których palnę, prosto w łeb dostali
Kulą z sześćostrzałowej, błyszczącej piosenki!

DZIESIĘCIOLECIE

Było wam, panowie, witrażowo i seledynowo.
Było «jakoś dziwnie» w «osmętach» i «tęsknicach».
Jak pięści między oczy uderzyło Słowo
I poszli starzy zrzedzić po kawiarniach i ulicach.

Całe lata się w Polsce głędziło o duszy,
Pisząc hymn do Księżyca na poetyckich okarynach,
Aż się w sercu czerwonym żywy śpiew rozjuszył
I huknął i przepędził durniów w pelerynach.

W Paryżu, nad absyntem, marzył się Królewicz
Długowłosym próżniakom, warszawskim Verlaine'om,
A jak słońce nad światem stał nad Polską Mickiewicz,
W teleskop nań patrzyły Kallenbachy jeno.

Roili się wam senne faramuszki w dali,
Mirjady i mirjamy, chrama i rapsody,
My — z Ody do Młodości, wiecznie młodej Ody,
Porwaliśmy się w życie, jak z porywem fali.

Jeszczeby dziś ze słówek pitrasili swojskie
Malowanki, kilimki i freblowskie wzorki.
Kwiląc «wiązaną mową», że to «takie polskie».
I kwitłyby rodzime poetyckie Tworki

Trzaskiem strof pękających walić w tych matolów
I gradem strzał skrzydlatych prażyć w ich kilimy!
A na strzałach osadzać świszczące wesolo
Ostrza słów rozpalonych, pałające rymy!

Z poetyckich kominów bucha dym — evviva!
Piorunościagi sterczą na nich jak bagnety
I zadymione niebo złoty krzyk rozrywa
I wypruwa gwiazdzisty sztandar dla poety!

Gniew stałą roztopioną wre, huczy i pryska,
Iskry pieśnią tryskają z hutniczego pieca!
Walić, młodzi, młotami w piekło paleniska,
W którym żarem się pławi polska giovinezza!

I niechże sobie teraz kto chce krzyczy: «żydy!».
Byłe się nam poezja w rękach pędem trzęsa!

Do muzeów, witezie, magiki, druidy!
Nam radość, że jest w słowach tyle drzew i mięsa.

Tak się przyszłość buduje — muskularną mową.
Tak się życie pcha naprzód śpiewną robocizną.
Młodości, daj nam skrzydła! Boże, ześlij słowo!
W pęd sławy, w dzieje swoje, porwij nas, ojczyzno!

IV

NĘDZA

Krzywda krzyczy spod ziemi,
Czarni i chudzi wołają:
Z żonami, sukami wyschłemi,
Wyjdziemy wyjąca zgrają!

Jest, jest nędza nasza!
Są, są te dzieci, jak zmory!
Doprawdy są te poddasza,
Suteryny i nory!

Są, są ci sapiący chorzy,
Z których krew do kubła chlusta,
Jest, jest wilgoć zielona w komorze,
Bród, smród i kwaśna kapusta!

Zmarzłe kartofle surowe,
Kaszel suchy, piec zimny,
Deska twarda pod głowę:
Takie będą nędzarskie hymny.

Było, było o chłodzie i głodzie.
Jest, jest, że się męczy i zdycha,
Będzie, będzie kość chuda w wodzie
I razowiec z piaskiem i mdła kicha.

Jest, jest nędza: stół zmarznięty,
Szmaty w oknach i na ciele łachmany
I krzyk w nocy, krzyk święty, przeklęty:
«Tato, tato kochany!»

SKWAR NĘDZARZY

I mętna i ciepła i mdła
Cieknie woda z zatkanego kranu;
Ale są mroźne, rośne szkła,
I wonny arak pachnie z nurtów mazagranu.

Gdy pani z pierwszego piętra przechodzi w chłodnej
sieni,
Snuje się za nią przewiew majowych perfum: bez...
Ale dla nas, z czwartego, niema tej wiosennej jesieni,
Od rana wali przez okno słońce, płomienny bies.

Niema w mieszkaniu cienia. Blask szydzi z suchych
nędzarzy.
Strych duszny trzeszczy nad głową, pali się szorstki
dach,
Tynk sklerotycznych murów, pęka, wapiennie się
praży;
Kruszy się i opada na żar okiennych blach.

Roją się muchy mściwe na łóżku, na zżółkłej gazecie,
Na mięsie obmierzłym, na stole, bzykają, nudzą, tną,
Spokój i chłód jest tylko w cienistym miejskim
szalecie,
Bo na podwórzu w kloace muszyska w upale wrą.

A na ulicach asfalt gotują w kotle. Żli są.
Tłuką kamienie na szosie. Duszą się. Muszą tłuc.
Pęka ze śmiechu i skwaru bies biały z mordą łysą,
Proch miałki końskiego łajna wdycha nędzarzom
do płuc.

Wrzeszczą aut karawany, rozbłyskane i wściekłe...
Panowie jedwabni i chłodni! Nie znacie naszych nóg!
Jakie są poranione, jakie brudne i spiekłe,
Starte w zdartych trzewikach o rozpalony bruk!

... Pani z pierwszego piętra w kafłowej białej wannie
Konwalje mydeł piennych natryskiem rześistym
zmywa,
Pan cytrynowe lody podaje w altanie pannie,
W dzbanie wina zimnego lód porąbany pływa.

A my dopiero w niedzielę za miasto wlec się
będziemy,
Koślawi, starzy, biedni, przez piachy, w pocie,
w spiece,
Aż kilka drzew znajdziemy, nad jakiś brzeg
zajdziemy,
Siądziemy, odetchniemy przy zielonawej rzece.

Nudna jest przesłodzona mleczna herbata z butelki,
Straszna jest bułka z masłem, stopniałem, żółtem,
jak miód,
Ale jest cisza nad rzeką i spokój, spokój wielki,
Od stóp, pluszczących się w wodzie, studzienny
ciągnie chłód.

Już wieczór luby zawiewa, wietrzyk w rękawy się
wtuła,
Deszcz kropi... toczy po wodzie kręgi z niebiańskich
łez...
Siedzimy, wpatrzeni w głębinę, gdzie, jak czerwona
kula,
Nabiegły krwią ze wściekłości, zdycha płomienny
bies.

NOC UBOGIEGO CZŁOWIEKA

Krzywdo, nędzo plądrująca,
Dniu trudny, nocy koszmarna!
Z bliźnim, z człowiekiem strapionym
Użera się noc bezkarna.

Człowiek zerwał się na posłaniu,
Kamień snu z piersi odwalił.
Słucha. Noc syczy w mieszkaniu,
Zegar szepce: dalej, dalej, dalej.

Kaszle sąsiad za ścianą. Człowiek słucha.
Suchym trzaskiem skrzypnęła podłoga.
Dziecko śpi, spokojnie oddycha.
Szemrze ciszą izba uboga.

Mysi szurgot zapalek. Ćwierknął płomyk.
Zgasło. W mątwe tumania się sprzęty.
Został w oczach odblask niewidomy
I rozplynął się w bezład mętny.

I pomyślał człowiek o nocy,
O dziecku, o sobie, o ciszy,
O sąsiedzie, za ścianą kaszłącym,
O skrobiącej uparcie myszy.

I pomyślał: dalej, dalej, dalej...
A noc syczy, a zegar szepce.
Westchnął człowiek, snem się przywalił
I śpi, biedny, w ubogiej izdebce.

WIERSZ O UMARŁEJ NADZIEI

Na rogu przy skrzynce pocztowej
Posłaniec stał, biedny staruszek.
Od rana nie miał początku,
Trzech kroków od skrzynki nie uszedł.

Zbliżałem się z paczką i listem,
A on modlił się, żebym nie zboczył,
Bo srebrną, okrągłą złotówką
Nadzieja zaczęła się toczyć.

Już uśmiechnął się, już rękawem
Wytarł wąs oszroniony,
Bo szedłem prosto, prościutko
Do staruszka przy skrzynce czerwonej.

A kiedy przy nim stanąłem,
Zachłysnął się sercem biednym!
Lecz list wrzuciłem do skrzynki,
A z paczką dalej poszedłem.

I patrzył za mną staruszek
Wielkiem spojrzeniem szklistem
I wrzucił umarłą nadzieję
Do skrzynki za moim listem.

KAMIENICE

Dom jak więzienie,
Kamienna twierdza.
Ludzie codziennie
Na siódme piętra
Dźwigają serca.

Odпочywają
I wyżej idą
I liczą stopnie.
Stają przy oknie
I na podwórze
Patrzają samotnie:
Dno, uwięzione
W kamiennej rurze,

Tunel stojący
Sztorcem ku górze,
Tunel przebity
W żałobnym murze.

Palą zapałki,
Czytają kartki
Na drzwiach przybite.
Jeszcze nie tutaj!
Niosą i niosą
Schylone karki,
Ręce wiszące,
Serca walące,
Zdyszane płuca.

Przynieśli serca,
Przynieśli ręce,
Stoją pod drzwiami;
Ciężko zdyszani
Czytają z ulgą
Znane nazwisko.
A w piersi bulgot,
Bulgot otchłani.
(A w tej otchłani
Zamknięte nisko
Między murami
Szare kolisko:
Przyziemne, szcurrze
Ciemne podwórze).

Już noc w łachmanach
Na dachach siada,
Ciemne gałgany
Gnuśnie rozkłada.
Idą do okien,
Patrzą ku górze:
Oto powoli

Z niebios opada,
Tuneł zamyka
Drugie podwórze..

FLECISTA

Był piegowaty mały flecista
W wielkiej stołecznej orkiestrze.
Grzmiące symfonje targały przestrzeń,
A on w swój flecik świstał.

Oczki kaprawe błogo przymykał
I mdlał w łkającym spazmie,
Burzą huczała groźna muzyka
W szalonym entuzjazmie!

Grał piegowaty mały flecista
Dla pani w trzecim rzędzie.
Była ta pani modro-złocista,
Jak mgława dał w Legendzie.

I dał płucami i piszczał o tem,
Ze płacze nocą i tęsknił
Niech jej opowie straszną tęsknotę
Ten pisk, ten pisk zwycięski!

Niech ona wstanie i świętą dłonią
Z ust pocałunek mu prześle!
Patrzcie — powstaje, wstaje na krześle
Flecista nad symfonją!

Patrzcie — on krzyczy w natchnionym szale
I pięści zaciska w gniewie,
Ze jego fletu nie słyhać wcale,
Ze ona o niczem nie wie!

I jeszcze ryczą trąby, puzony,
Wiole zanoszą się szlochom,
A już do krzesel zamęt skłębiony
Runął spiętrzonym popłochem!

G A R B U S

Piękne krawaty,
Lecz cóż mi po nich, kiedy jestem garbaty?

W tym, w paski srebrne,
Byłoby mi do twarzy.
Ale daremnie:
I tak go nikt nie zauważy.

Choćby był z tęczy,
Choćby z papuzich był barw,
Nikt nie powie: «Jaki śliczny krawat!»
Każdy powie: «Jaki straszny garb!»

Mnie trzeba szarfy długiej,
Najcudniejszej z szarf!
Zawiążę ją tak pięknie,
Że mnie nie poznacie!
— Ach! ach! — szepniecie —
Jaki garb!
Ale... dlaczego pan wisi — na krawacie?

PIOTR PŁAKSIN

(Poemat sentymentalny)

(Wilamowi Horzycy)

1

Na stacji Chandra Unyńska,
Gdzieś w Mordobijskim powiecie,
Telegrafista Piotr Płaksin
Nie umiał grać na kłarnecie.

Zdarzenie — błahe napozór,
Nie warte aż poematu,
Lecz w konsekwencjach się stało,
Główną przyczyną dramatu.

Smutne jest życie... Zdradliwe...
Czasem z najbliższej przyczyny
Splata się w cichą tragedję,
W ciężkie cierpienie — bez winy.

Splata się tak niespodzianie,
Jak szare szyny kolei,
W rozpacz bezsilną, w tęsknotę,
W hezbrzeźny ból beznadziei.

Jak odchodzące pociągi,
Jest jednostajne, codzienne,
Jak dzwonki trzy, wybijane
W słotne zmierzchania jesienne...

Przez okno spojrzy się czasem
W szlak dróg żelaznych daleki,
Dłońmi się czoło podeprze
I łzami zajdą powieki.

2

Otóż przy jednym z tych okien,
Przy aparacie Morsego,
Siedział Piotr Płaksin i — tęsknił,
A nikt nie wiedział, dlaczego.

Ani Iwan Paragrafow,
Kasjer na stacji, chłop z duszą,
(Ten, co się zeszłej jesieni
Żenić miał z panną Katuszą).

Ani Włas Fomycz Zapojkin,
Technik, co ma już miesięcznie
Przeszło sto rubli (bo umie
Naczalstwu kłaniać się wdzięcznie).

Ani Ilja Słonomośkin,
Młodszy kontroler na stacji,
Co gwałtem chce do miejscowej
Wcisnąć się arystokracji.

Ani nareszcie nie wiedział
Sam pan naczelnik Rubleńko,
Prokofij Aleksandrowicz,
Co wypić lubił «maleńko».

A jeśli sam zawiadowca,
— Figurrra znana w powiecie —
Nie wie, to chyba nikt więcej
Nie może wiedzieć na świecie!

3

A jednak były osoby,
Które wiedziały co-nieco:
«Szersze lja fam» powiadały,
Czyli: za sprawką kobiecą.

Wierzyć poprostu nie chciałem,
Choć mi Warwara Pawłówna
(Konduktorowa) mówiła,
Że to przyczyna jest główna.

Mówiła w wielkim sekrecie,
Że to jest rzecz oczywista:
Że się w kimś kocha na stacji
Piotr Płaksin, telegrafista.

Święte ugodniki boże!
Batuszki! Co za zdarzenie?!
Kogóż to kocha Piotr Płaksin?
Tanię, Anisję czy Żenię?

Olę? Awdotję? Nastasję?
Wierę? Aniutę? Nataszę?
Może Maryję Pawłównę?
Może Siemionową Maszę?

— Kogo?! Tę Polkę z bufetu?!
Hospodi! Świat się przekreślił!
... A Płaksin siedział przy oknie
I tak jak zwykle się smęcił.

4

Na stacji Chandra Unyńska,
Gdzieś w Mordobijskim powiecie,
Technik, Włas Fomycz Zapojkin,
Przepięknie grał na klarncie.

Czasem tak smętnie, jakgdyby
Trawił go żal najstraszniejszy...
A wtedy grywał przeciągle:
«Ostatni dzionek dzisiejszy...»

Czasem prześlicznie i słodko,
Jakoś łagodnie i czule;
A czasem dziko, wesoło,
O samowarach i Tule.

A pannie 'Jadzi z bufetu
Serce z wzruszenia aż mięknie,
Szeptala często: «Włas Fomycz,
Pan gra tak cudnie... tak pięknie...»

A technik wása pokręca
I oczkiem zdradnie jej miga:
«Jej-Bogu, głupstwo zupełne,
To dla was, panna Jadwiga!»

Ach, wzdycha Jadzia do grajka,
A grajek zwodnie jej kadzi,
I wzdycha jeszcze Piotr Płaksin
Do Jadzi ślicznej, do Jadzi...

5

Wicher po polu się tłucze,
Huczy za oknem zawieja,
Włas Fomycz gra żałośliwie:
Och, żal mnie ciebie, Rassieja!

Śnieg pada gęsty i gruby,
Wiatr w szpary okien zawiewa.
Panna Jadwiga, jak codzień,
Podróżnym wódkę nalewa.

Sroży się mróz trzaskający,
Dreszczem przejmuje do kości,
Siedzi Piotr Płaksin i pisze,
List pisze o swej miłości.

Pisze Piotr Płaksin do Jadzi,
Że jej powiedzieć nie umie,
Więc błaga w liście chociażby:
Niechaj go Jadzia zrozumie!

Pisze, że kocha ją dawno,
Jeno powiedzieć jej nie śmiał,
O tajemnicę ją prosi,
Aby Włas Fomycz się nie śmiał.

Pisze serdecznie, miłośnię,
Że kocha, marzy, wspomina!
... I łzy padają na papier
Telegrafisty Płaksina.

6

Jest smutne okno na stacji,
Skąd widać pola dalekie,
Skąd widać szyny, pociągi
I trzy drzewiny kalekie.

Skąd widać ludzi, co jadą
W dalekie, smutne podróże,
Skąd widać jesień rosyjską
I szare niebo — hen, w górze...

I jest niezmierna tęsknota,
I żale stare, banalne,
I oczy bardzo dalekie,
I słowa, słowa żegnalne...

Ach, serce biedne, wzgardzone!
Ach, oczy śmiesznie płaczące!
O, łkania w nocie bezsenne!
O, łzy miłości gorące!

«Nie dla mnie pan, panie Płaksin,
Dla mnie Włas Fomycz, artysta,
Z duszą poety marzącą,
A pan co? — Telegrafista!»

Czyta Piotr Płaksin i myśli:
«Poco-m ja komu na świecie?»
I myśli jeszcze: «Jak ślicznie
Włas Fomycz gra na klarncie...»

Na stacji Chandra Unyńska,
Przy samym płocie cmentarnym,
Jest grób z tabliczką drewnianą,
Z krzyżykiem małym i czarnym...

A na tabliczce jest napis:
«Duszo pobożna i czysta,
Pomódl się... Leży w tym grobie
Piotr Płaksin, telegrafista».

ROZMYŚLANIA

«Niema tam, mociumpanie, lepszej rzeczy w świecie,
Jak, panie dobrodzieju, w wieczór chłodny, słotny,
Piwka sobie, ten tego, troszkę, jak to wiecie,
Kiedy człek, psiakrew, siedzi jak kołek samotny.

Papierosika, owszem, zapalić nie wadzi,
Pociągnąć, panie tego, z kufelka czasami,
Pomarzyć, niby... tego... o Jadzi, o Władzi,
He-he-he! Stare dzieje! figle z pannicami!

Liścik, panie kochany, wydobyć z szufladki,
Różowiutki, cacany, aż serduszko mięknie,
Śród kartek zapisanych — zasuszone kwiatki,
Łezka, panie łaskawy... piękną było, pięknie...

A potem, mociumpanie... tego... znowu łezka,
I, panie dobrodzieju, niby znów... i tego...
I łzy do kufła, panie... chroń, Matko Niebieska,
I płacze się, asanku, do rana samego!...»

U M A R Ł

Jakgdyby nigdy nic:
Wieźli
Pospiesznie przez ulicę,
Tak szybko, tak prędko,
Doprawdy — prawie kłusa,
Czarny krzyż nieśli,
I ksiądz szedł zamaszyście,
Jakgdyby zwykłą szedł drogą.

A za karawanem
(Pomyślcie, pomyślcie!)
Nikogo nie było, nikogo...

Zawieźli go do ziemi i do Pana Jezusa.

A nie wiadomo gdzie — w dali —
Jakgdyby nigdy nic,
Kiedyś tam, rano,
List dostaną.
Ach, jakże będą płakali,
Krzyczeli, rozpaczali,
(Nie wiem gdzie — w dali).
Postawią woskowe świeczki
W żółkłych matowych świecznikach
I będą zbierali
Po szufladkach, kącikach,
Najświętsze pamiąteczki.

POGRZEB

Świeciła mdło naftowa lampka,
Wynieśli na czarne schody,
Na czarne schody drewniane,
Szli, szli, schodzili,

Szeptali coś, mówili,
Schylali głowy,
Głowami kiwali,
Szli, szli, schodzili,
Śnieg padał, mokro było,
Ręce załamywali.

REWIZJA

Trzej — z uśmiechem i spokojnie. Grzecznie.
«Tak... A tutaj? No, a tu?...» Szperali.
(A w kącikach ust — tak niebezpiecznie,
A w źrenicach — ostrza zdradnej stali).

Ten wyblakły — tępo-smutny niby,
Lecz udaje. A drugi, w mundurze,
Kłęczy, czyta. Przez wylekłe szyby
Trzecie oczy, oczy szpicla szurze.

To? odsunąć? Proszę!... (Coś tam w głębi
Z jękiem pada i przeciągle boli...)
Zwiędłe słówko... Zimny strach się skłębił —
— Aż wyciągnął! «Hm... t-a-k... Pan pozwoli!...»

MIESZKAŃCY

Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach
Strasznie mieszkają straszni mieszczanie.
Pleśnią i kopciem pełnie po ścianach
Zgroza zimowa, ciemne konanie.

Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą,
Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.
Trochę pochodzą, trochę posiedzą,
I wszystko widmo. I wszystko fantom.

Sprawdzą godzinę, sprawdzą kieszenie,
Krawacik musną, klapy obciągną,
I godnym krokiem z mieszkań — na ziemię,
Taką wiadomą, taką okrągłą.

I oto idą, zapięci szczerze,
Patrzą na prawo, patrzą na lewo.
A patrząc — widzą wszystko oddzielnie:
Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...

Jak ciasto biorą gazety w palce
I żują, żują na papkę pulchną,
Aż, papierowym wzdęte zakalcem,
Wypchane głowy grubo im puchną.

I znowu mówią: że Ford... że kino...
Że Bóg... że Rosja... radjo, sport, wojna...
Warstwami rośnie brednia potworna
I w dżungli zdarzeń widmami płyną.

Głowę rozdętą i coraz cięższą
Ku wieczorowi ślepo zwieszają.
Pod łóżka włożą, złodzieja wężą,
Łbem o nocniki chłodne trącając.

I znowu sprawdzą kieszonki, kwitki,
Spodnie na tyłku zacerowane,
Własność wielebną, święte nabytki,
Swoje, wyłączne, zapracowane.

Potem się modlą: «... od nagłej śmierci...
... od wojny... głodu... odpoczywanie»
I zasypiają z mordą na piersi...
W strasznych mieszkaniach straszni mieszczanie.

POGRZEB PREZYDENTA NARUTOWICZA

Krzyż mieliście na piersi, a brauning w kieszeni.
Z Bogiem byli w sojuszu, a z mordercą w pakcie,
Wy, w chichocie zastygli, bladzi, przestraszeni,
Chodźcie, głupcy, do okien — i patrzcie! i patrzcie!

Z Belwederu na Zamek, tętnicą Warszawy,
Alejami, Nowym Światem, Krakowskim
Przedmieściem,
Idzie kondukt żałobny, krepowy i krwawy:
Drugi raz Pan Prezydent jest dzisiaj na mieście.

Zimny, sztywny, zakryty chorągwią i kirem,
Jedzie Prezydent Martwy a wielki stokrotnie.
Nie odwracajcie oczu! Stać i patrzeć, zbiry!
Tak! Za karki was trzeba trzymać przy tem oknie!

Przez serce swe nawyłot pogrzebem przeszyta,
Jak Jego pierś kulami, niech widzi stolica
Twarze wasze, zbrodniarze, — i niech was przywita
Strasznym krzykiem milczenia żałobna ulica.

PRZED PARYŻEM

«Voilà, voilà, bandits!»
(Rimbaud)

Zwyciężało więc chamstwo. Do miasta-światłości
Zbliżał się gbur germański z tryumfem przechwatki,
Jużem widział, jak butnie w mieście się rozgości,
Jak warkną suche bębny, zagwiżdżą piszczałki!

Zasie bałwan spiżowy, święty buldog pruski,
Pierś wydetą ustroi czarnej chwały krzyżem

I legnie ciężkim cielskiem na ziemi francuskiej,
Groźnie pysk nad jej sercem zwiesiwszy, Paryżem

Pycha zbruździ głupotę stalowego pyska,
Mózg pod hełmem śnić zacznie nową cesarjadę.
I sztywno wyrzucając podkute buciska
Głupie junkry z loskotem otrąbią paradę.

I potoczą się ciężkie a krnąbrne przemowy,
Kirasjerskie tyrady o Bogu i prawie:
«Wolność», «ideał», «cnota», «praca», «mur stalowy»
I «stary miecz niemiecki w niespożytej sławie».

Zaprawdę, toby było, meine Herrn, wspaniałe!
Miljard sercby zamarło nagle w przerażeniu,
Miljard ustby przekłęło tę potworną chwałę,
Miljard ludzi stanęło ramię przy ramieniu.

A kiedy wasz Sterczywąs Suchoreki właśnie
Byłby armji dziękował za zwycięstwa plony,
Wiedziałem, że ktoś w gniewie tak w stół pięścią
trzaśnie,
Ze podniesie nie pięść już, lecz ochłap skrwawiony!

A takim uderzeniem miażdży się narody
I przed gniewem Jednego drżą wtedy miljony!
Historja mu wyciąga pierwsza dłoń do zgody,
Wiekom prawa dyktuje taki gniew czerwony!

Dzwoń, mój gniewie-zwycięzco! Dzwoń, radosny
gniewiel!

Pękajcie, wulkaniczne strofy, jak granaty!
Kłujcie, zdania-bagnety! Sycz, złote zarzewiel
Wibrującem smaganiem sieczcie, słowa-baty!

Nuże, kulturträger, dichtery, denkery,
Bibljofile, hofraty, leutnanty, doktory,

Pracowci idjoci, żandarmy, siegery,
Hegle, schlegle, geistszelmy, durnie, profesory! —

— Deutschenhetzer przemawia! Niech was to oburza!
Zgromcie niekulturalną moją inwokację!
Śpiewam gniewem i wżgardą — więc mój śpiew, jak
burza!

Wy zaś wysiadujecie mądrę dySSERTACJE!

Niech się eksplodująca moja inwektywa
Śrótem obelg i gradem wymysłów rozpryska,
A chociaż będzie lżywa — będzie sprawiedliwa,
Żagwią — prask! — bijąc w butę zuchwalego pyska!

Wczorajsze domokrady — dzisiaj demokraty,
Spokorniałe na rozkaz von oben pyszałki,
Pomyślcie, coby było, gdyby swe armaty
Do Paryża wtoczyły wasze feldmarszałki!

Gdyby na Place de la Concorde sam Kaiser
Na białym koniu wjechał w kasku kirasjerskim,
Nie buchnęłażby pycha z was dzika, jak gajzer,
Nie zalałaby ziemi tryumfem kajzerskim?!

Nie poszliżbyście wszyscy z pielgrzymką do Essen?
Nie czcilibyście Kruppa, niczem demiurga?
I «Deutschland über alles» wyjąc nawet przez sen,
Czyż nie lizalibyście butów Hindenburga?!

Pojechałyby brzeskie kanalje nach Westen
Podyktowały pokój vonhoffmany grube,
I kułak jeneralski z heroicznym gestem
Byłby przypieczętował Europie — zgubę!!

Potembyście stworzyli Kosmiczną Policję,
Kagańce z numerami nosiliby ludzie,
Gromadząc dla was, zbiry, świętą amunicję,
Pracując dla was, zbiry, w niewolniczym trudzie.

Bandą pruskich rekrutów byliby wam wszyscy,
Wiernem poddanem bydłem Wilhelma Zwycięzcy,
Szalelibyście z pychy, bogom zda się bliscy,
Z Bożej łaski szucmany, żołdaki, ciemiężcy!

Wzarlibyście się w ziemię swą pychą i dumą,
Cisnęlibyście sobie cały świat pod stopy,
A mybyśmy musieli, jak przed czarną dżumą,
Uciec z hochhohenzollernvonpreusseneuropy!

Uciec! I raczej kędyś na wyspie pierwotnej
W Australji, u dzikusów Europę założyć,
Niż w germańskim zaduchu, wśród kliki przewrotnej,
W ciężkiej waszej kulturze żyć i życie tworzyć!

Lecz otośmy ujrzeli z zapartym oddechem,
Jak na polach francuskich piechota i tanki,
Działa, pułki, pędzone zwycięskim pośpiechem,
Poszły naprzód w cudownym rytmie marsyljanki.

I dokonały dzieła. Zmiażdżyły świat stary.
Chwała krwi, co zmoczyła francuskie okopy!
— Na sztandary przerzucicie czerwone pożary
I — hurra! — wolne ludy wolnej Europy!

SPIS RZECZY

I

** («Kwiaty polskie»)	3
LEKCJA	5
NIEMA KRAJU («Słowa we krwi»)	6
PODRÓŻ («Słowa we krwi»)	7
CEL («Bibljja cygańska»)	8
SPACER FANTASTYCZNY W LESIE FONTAINEBLEAU («Słowa we krwi») :	8

II

LÓDŹ («Jarmark rymów»)	10
WTEDY («Słowa we krwi»)	12
NAD CEZAREM («Słowa we krwi»)	12
NAUKA («IV tom wierszy»)	13
PRZY OKRĄGLYM STOLE («Siódma jesień»)	15
PRZYPOMNIENIE («Siódma jesień»)	16
WIECZÓR («Siódma jesień»)	16
RZUCIŁBYM TO WSZYSTKO («Siódma jesień»)	17
POWIEDZIEĆ CI NIE MOGĘ («Siódma jesień»)	18
LIST («Siódma jesień») :	18
SUMA JESIENI («Bibljja cygańska»)	19
INNE («Rzecz czarnolesska»)	19
ŻYDEK («Słowa we krwi»)	20
ZMĘCZONY BURZ SZALEŃSTWEM («Sokrates tańczący»)	21
JESTEŚ ZNOWU... («Sokrates tańczący»)	21
RODZINA («Bibljja cygańska»)	22
SCHERZO («Bibljja cygańska»)	22
WIEŚ («Bibljja cygańska»)	23
PRZEMIANY («Słowa we krwi»)	23

** (-Czyhanie na Boga)	24
SOKRATES TAŃCZĄCY («Sokrates tańczący»)	25
DWA WIATRY («Sokrates tańczący»)	27
PIEŚŃ O BIAŁYM DOMU («Sokrates tańczący»)	28
W WARSZAWIE («Sokrates tańczący»)	29
ŚLĄSK ŚPIEWA	31

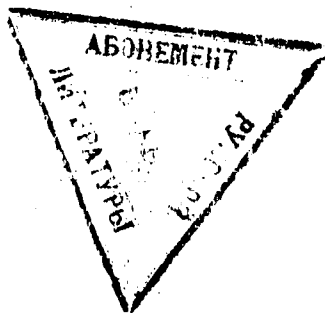
III

WŁAŚCIWIE («Sokrates tańczący»)	33
TRUD («Bibljja cygańska»)	33
POŚRÓD DNIA («Rzecz czarnolesska»)	34
DO LOSU («Bibljja cygańska»)	34
COMEDIA DIVINA («Rzecz czarnolesska»)	35
RZEŻ BRZÓZ («IV tom wierszy»)	36
NASZA MĄDROŚĆ («Sokrates tańczący»)	36
DUMA («Czyhanie na Boga»)	37
PRACA («Rzecz czarnolesska»)	37
ODPOWIEDŹ («Rzecz czarnolesska»)	38
KAMIENIE RACZEJ RĄBAĆ («Rzecz czarnolesska»)	38
EKSPERYMENT («Bibljja cygańska»)	39
WIERSZ («Bibljja cygańska»)	41
BAGDAD, CZYLI O PRZYSZŁYM POECIE («Rzecz czarnolesska»)	42
SITOWIE («Słowa we krwi»)	43
NIEZNANE DRZEWO («Słowa we krwi»)	44
PROŚBA O PIOSENKĘ («Słowa we krwi»)	45
DZIESIĘCIOLECIE («Rzecz czarnolesska»)	45

IV

NĘDZA («Słowa we krwi»)	48
SKWAR NĘDZARZY («Słowa we krwi»)	49
NOC UBOGIEGO CZŁOWIEKA («Bibljja cygańska»)	51
WIERSZ O UMARŁEJ NADZIEI («Rzecz czarnolesska»)	51
KAMIENICE («Bibljja cygańska»)	52
FLECISTA («IV tom wierszy»)	54
GARBUS («IV tom wierszy»)	55

PIOTR PŁAKSIN («Sokrates tańczący»)	55
ROZMYŚLANIA («Sokrates tańczący»)	61
UMARŁ («Sokrates tańczący»)	62
POGRZEB («Czyhanie na Boga»)	62
REWIZJA («Sokrates tańczący»)	63
MIESZKAŃCY («Bibljja cygańska»)	63
POGRZEB PREZYDENTA NARUTOWICZA («Słowa we krwi»)	65
PRZED PARYŻEM («Jarmark rymów»)	65



Podpisano do druku 8/XII 1943 r.
Format 70×92¹/₃₂. Ilość ark. druk. 2¼.
Zamówienie Nr. 1637.

Drukarnia «Iskra rewolucji»
Moskwa

БИБЛИОТЕЧКА
СОЮЗА ПОЛЬСКИХ ПАТРИОТОВ В СССР

Ю. ТУВИМ • Стихи

На польском языке

Цена 2 р. 50 коп.